

Kronika tygodniowa.

Poprzednia kronika była już w całości gotową, gdy otrzymałem drugi list Szanownego Krakowianina, który poniżej, w myśl Jego życzenia, pozwolę sobie dosłownie powtórzyć, choć, prawdę mówiąc, miałbym wielką ochotę opuścić ustęp, zawierający pochwałę mych kronik, jestem bowiem z natury bardzo skromny i boję się, bym przypadkiem sam nie uwierzył, że one są coś warte.

Ot, robi się, co człowiek może i jak może, jeśli się czasem coś nie uda, to już nie moja wina.

Treść listu jest następująca:

„Kraków, dnia 30. października 1914. Wielmożny Panie Kronikarzu! Na podstawie § 19. austr. ust. pras. z dnia 17. XII. 1862 r. upraszam o łaskawe zamieszczenie w tygodniku „Nowości Ilustrowane“ w dziale Kronika tygodniowa następującego sprostowania: nieprawdą jest, jakoby w liście swoim wzywał Pana „w imieniu prawa“ do powagi, prawdą natomiast jest, iż wyraziłem jedynie życzenie, by lutnię Swą nastrajał Pan czasem — odpowiednio do powagi chwili — na tragiczną nutę; nieprawdą dalej jest, jakoby nie podobały mi się kroniki Pańskie, prawdą natomiast jest, iż kronikami temi jestem zachwycony, czemu dałem wyraz słowami: „cenię wysoko dowcip i talent WPana“; nieprawdą także jest, jakoby ja był autorem listu, w którym ktoś wybesztiał dyr. Pawlikowskiego, prawdą natomiast jest, iż jestem autorem listu, w którym proszę „bodaj czasem“ o łyż zamiast śmiechu; nieprawdą na koniec jest, jakoby śmianie się zakazane było pod grzywną lub karą aresztu, gdyż w całym przestudyowanym kodeksie praw nigdzie nie znalazłem podobnego zakazu; naostatek proszę uprzejmie o niezaopatrywanie moich listów, a tembardziej niniejszego sprostowania żadnymi uwagami, gdyż takowe nie tylko mogą mię ośmieszać w opinii ogółu, ale ponadto wpływają w wysokim stopniu na moją niestrawność, tembardziej, że od lat kilku cierpię na żołądek. Łączę uprzejmie wyrazy poważania. *Krakowianin*“.

Zastosuję się także i do ostatniego życzenia, bym nadsyłanych mi listów nie zaopatrywał komentarzami, choć to bardzo lubię, pozwolę sobie przecież zauważyć, iż Autor listu, choć nawołuje mnie do powagi, jest jednak sam humorystą.

Ponadto nie zrobię urzędowego użytku z końcowej uwagi, wspominającej o owym cierpieniu żołądkowym, datującem się od lat kilku, gdyby bowiem dowiedział się o tem pan fizyk, awantura gotowa! A już to cholera i do tego chroniczna?...

Sam byłem w strachu, czytając ów list, ochłoniąłem przecież, gdy na kopercie wyczytałem *Zensurirt*. Skoro przeszedł cenzurowy alembik, chyba zdrowiu memu, o które i ja i cała moja rodzina nadzwyczaj się troszczy, nie zaszkodzi. W każdym razie, w myśl starego przysłowia, że strzeżonego Pan Bóg strzeże, zdezynfekcyonowałem się należycie miętową, pomieszaną z piołunówką (tak zwana głąbikowa w kratkę). Jest to znakomity środek odkażający, który zabija najbardziej złośliwe bakterie, mogę go też Szanownej Publiczności z całego serca polecić, zwłaszcza na te ciężkie czasy, gdy niema między nami takiego, aby nie miał jakowegoś robaka, co go gryzie...

I ja mam takiego i to nie jednego, nie mogę im przecież dać rady. Nieraz już starałem się je utopić, cóż jednak poradzę, bestye nauczyły się tymczasem pływać i teraz śmieją się ze mnie i z mych wysiłków.

Takim właśnie robakiem, który nam wszystkim dokucza, jest ewakuacja.

Od kilku dni czytam plakaty, donoszące o niej, zdecydowałem się też zaraz, że trzeba być wezwaniu posłusznym. Ja sam zostaję, gdyż mogę się na co przydać, rodzaj żeński natomiast cały po tunowilem wysłać, gdzie go oczy poniosą. Trzeba zaś wiedzieć, iż, prócz żony i córek, wchodzi w jego skład jedna ciotka z Galicyi wschodniej z pieskiem, kotkiem i kanarkiem (z tego każdy pozna, że to stara panna) i daleka kuzynka, gdzieś z pod Rzeszowa, także już leciwa dziewczyna, która uciekła nad Wisłę z obawy przed Kozakami. Ta ma znowu tasieca, ale o nim nawet mówić nie lubi.

Onegdaj, przyszedłszy do domu (było to właśnie bezpośrednio po owej dezynfekcji, jaką przeprowadziłem na samym sobie), powiadam:

— No, moje panie! Zbierajcie manatki, bo trzeba jechać!

— A dokąd? — zawołał cały chór.

— Do Paki! Nie wiem jednak czy to Stara, czy Nowa!

— Pfe! Ja nigdy w pace żadnej nie siedziałam i teraz także siedzieć nie myślę! — dorzuciła ciocia z pieskiem, kotkiem i kanarkiem. — Biedny mój Filuś mógłby się tam udusić, a on taki delikatny.. Cierpi na astmę, weterynarz zapisał mu ślazowe cukierki.

A ja jej na to:

— Filusia może ciocia zostawić! Przyda się w czasie oblężenia. Wypasiona szelma, jak mały prosiak, będą z niego doskonale kotlety...

Zanim skończyłem, baba grzmot o ziemię. Zemdlała z oburzenia.

— Jakże można tak igrać z najświętszymi uczuciami człowieka! — strofowała panna z pod Rzeszowa (ta z tasiecem! przyp. zecera) — Biedna kobieta mogła to przypłacić życiem...

— Już ja się o nią nie boję! Chciałbym być taki zdrow, jak ona...

— Tak! Na oko jest zdrowa! Ale nerwy!...

— Znajdzie się i na nerwy lekarstwo... Wracajmy jednak do Paki...

— Ja o żadnej pace ani nie chcę słyszeć! — zakonkludowała moja stara — Zostajemy i basta!

— Cóż tu jednak po was? Baba w fortecy taka jest potrzebna, jak, nie przymierzając, dziura w moście... Narobiłybyście tylko krzyku i gwałtu!

— A Kapitol przed Gallami kto obronił, jak nie gęsi? — dorzuciła moja „wyżej wykształcona“ córka, połapała się przecież, że głupstwo strzeliła, nie czas jednak było się już cofnąć.

— Nie zwracajcie mi baby głowy, bo szkoda czasu! Jedzcie i basta! Jeśli nie chcecie dobrowolnie, to was wyrzucą.

— Ale nie do Paki!

— Owszem! Do Paki... Bo to nie jest taka paka na śmieci, jak wy sobie myślicie, ale całkiem porządna, z domami, ogrodami, sklepami i t. d. Jednym słowem, jest to miasto w Czechach.

— Tak trzeba było mówić!... — zauważyła panienka z tasiecem. — A czy tam jest apteka? Bo ja czasem niedomagam na zdrowiu...

— Jest! Jest! Właśnie czytałem korespondencję w *Nowej Reformie*, że nadszedł tam świeży transport oleju rycynowego... A tasieciec to lubi...

— Pfe! Jakże można...

Dyskusję przerwała moja lepsza połowa:

— Dobrze, pojedziemy! Ale pod jednym warunkiem, że i ty z nami pojedziesz... Zawsze to co innego, gdy się ma koło siebie mężczyznę...

— Owszem! Owszem! Ale ja zostaję! Wymagają tego obowiązki redakcyjne!

— Tak! Ty myślisz tylko o obowiązkach redakcyjnych, a zapominasz o małżeńskich! — dodała z wyrzutem. — I poco ja wychodziłam za mąż za takiego niegodnego człowieka... Ale to naturalne! Ho! ho!... Znam się na tem i nie dam się wziąć na kawał... On sobie myśli: baby pojadą, a ja się tu dobrze tymczasem zabawię...

— Ani mi przez myśl nie przeszło nic podobnego!

— No! no! Nie tłumacz się! Wszyscyście jednacy! Któż wymyślił przysłowie: „Baba z wozu, koniom lżej“, jak nie mężczyzna? Może kobieta?

— Nie mam pojęcia! Tak dalece nie znam się na literaturze... W każdym razie ten, co je wymyślił, to miał rację...

— A widzisz!... Wobec tego nie jadę!

— To jest, chciałem powiedzieć, że... co tam zresztą będziemy się bawić w ceregiele i próżne gadanie... Jedzciecie i koniec! Ja tak chcę i tak być musi, bo ja jestem i anem i głową domu...

— Zapominasz jednak, że głową byłaby do niczego, gdyby nie była osadzona na szyi, która nią kręci — odparła na to zacna moja magnifika — A tą szyją domową jestem ja!

Na to nic nie odpowiedziałem, przyznając jej zupełną rację, by ją przecież pocieszyć, zapewniłem, że za cały czas pobytu jej poza Krakowem wykażę się urzędowo wystawionem świadectwem moralności, pozatem zajmę się studiami historyi syamskiej, która mi się nadzwyczaj podoba.

Bo, proszę sobie tylko pomyśleć, jak to musi być przyjemnie, gdy się ma tak sympatyczne nazwisko, jak nieboszczyk władca Syamu, który, wstępując na tron, przybrał tytuł: Prabat—Somdich—Pra—Paramindr—Moha—Chula—Langkorn—Pantindr—Tepa—Moha—Mongkut.

Można sobie zupełnie język połamać, nim się człowiek tego nauczy na pamięć!

A co to za dzielni są ludzie, mamy najlepszy dowód, iż ten pan, o którym wyżej mowa, był najstarszym z ośmdziesięciu czworga dzieci swojego pany, mającego tylko (!) trzydzieści pięć żon i prawdopodobnie tyleż teściowych...

Mój Boże! — myślę nieraz. — Co to musiał być za żelazny charakter!... Ja sobie z jedną radą dać nie mogę...

W tajniki syamskich dziejów rodziny swej nie wtajemniczam, magnifika wytykałaby mi bowiem na każdym kroku, iż niema we mnie nic... syamskiego!

Na nic się to przecież wszystko nie zdało! Na upór babski niema lekarstwa, cały fraucymer został mi więc na karku i chyba uwolni mnie od niego Wysoka Władza, za co byłbym jej niewymownie wdzięczny.

Wtedy dopiero odpocząłbym sobie i mógłbym powiedzieć z księciem albańskim, Wiedem, gdy się znalazł nareszcie na polu walki we Francji:

— Teraz chyba będę miał już spokój!...

Sprawa obsadzenia tronu albańskiego zesłała przecież na drugi plan, na bigos bałkański niema wcale popytu, każdy myśli tylko o ogólno światowej sytuacji, zwłaszcza, że zanoszą się na niespodzianki, szczególnie od chwili, gdy Turcyja wypowiedziała wojnę Rosyi, Anglii, Francji i t. d.

Obiecowałem wprawdzie w ubiegłym tygodniu, iż owej wielkiej polityce poświęcę całą kronikę, gdyż na to w całej pełni zasługuje, wolę przecież zatrzymać się aż do końca wojny i dopiero *ex post* ocenić wypadki, teraz bowiem łatwo bardzo można się pomylić. Nie chciałbym zaś wprowadzać w błąd Szan. Czytelników, którzy mogliby mi wziąć to za złe. Zresztą kombinacje polityczne nie bardzo się w tym czasie udają, grozi nam bowiem znowu brak pilznera!

To cios, godzący nie tyle w serce, co w żołądek...

I myślę sobie, czy przypadkiem nie posłuchać rady żony dobrodziejki i nie wybrać się z nią razem do owej czeskiej Paki. Tam byłby człowiek zdala od pola walki, a bliżej Pilzna, do którego przeciętny rozszerzony i spragniony Krakowianin wzdycha, niczem Turek do Mekki i chciałby tam być bodaj raz w życiu!

Bo, powiadam Państwu, niema to, jak Czechy! Nawet kobiety są tam energiczniejsze niż u nas. A mieliśmy tego dowód w wiadomości z Domażlic, gdzie miejscowe kobiety, gdy okoliczni wieśniacy, przywożący na targ swe produkty, wyśrubowali zbyt ceny, nie tylko nic od nich nie kupiły, ale nadto dobrały się do ich skóry i wyrzuciły za rogatki.

To rozumiem! To jest energia, ale dodam, że takiej żony nie życzę ani sobie, ani żadnemu z P. T. Czytelników. Wobec tego baczność kandydaci do stanu małżeńskiego! Niechaj żaden z was nie bierze żony z Domażlic, bo później moglibyście żałować...

Moja stara nie pochodzi wprawdzie z Domażlic, ale... szkoda zresztą tem się zajmować. Co się raz stało, już się nie odstanie!

Swoją drogą nie zaszkodziłoby, gdyby tak nasze panie zabrały się także na ostro do tych, którzy uprawiają u nas lichwę żywnościową, a takich nie brak! Gdyby jednemu i drugiemu zalano porządnie gorącego sadła za skórę, dałby sobie może spokój i nie starałby się wyzyskać sposobności do obławienia się należycie.

Ale nasze panie, jak to mamy zresztą na samych sobie dowody, energię swą lubią wyładować zazwyczaj w niewłaściwym kierunku i to daje powód do tak zwanych wojen domowych, straszniejszych nieraz od tych, którym akompaniują grube Bertyl...



LALKI

Zabawki, Konie
na biegunach,
Gry towarzyskie

poleca
w wielkim
wyborze

C. SZCZURKOWSKI
W KRAKOWIE

ul. Grodzka 2